

Styczeń 2022 r.

## „Czytanie w czasach zarazy”

### część 21

Rok 2021 niestetychanie się dłużył. Nie tylko mnie. Zły świat zastygł w oczekiwaniu. Na początku tamtego roku, mieliśmy nadzieję, że Covid nas opuści. Mijały – najpierw tygodnie, później miesiące i wreszcie odszedł stary już rok, a Covid ma się dobrze! Po wiosennym przesileniu, jakby zaczął się poddawać, zaczęliśmy wychodzić, wyjeżdżać, spotykać się, ale kiedy zaczęły żółknąć liście – „złe” – wróciło. I to z jakim impetem! Duża wina nas samych, sądziliśmy, że wygraliśmy walkę, ale było to ze strony paskudy jedynie zawieszenie broni. Na horyzoncie ukazał się nowy mutant: omikron i znowu zaczyna rozrabiać. Pesymiści są przekonani, że skutki omikrona będą jeszcze tragiczniejsze niż delty, a skrajni pesymiści, że już nigdy nie uwolnimy się od wirusa. Mój pewien znajomy podejrzewa nawet atak Kosmitów, niby pół żartem, ale... jednak...

Kiedy w 2020 roku zaczęłam pisać „Czytanie” - sądziłam, że potrwa to może rok, co najwyżej półtora. Przestałam już liczyć, przestałam przewidywać i dalej czytam i piszę... Traktuję to, jako pewien rodzaj terapii przy nieuleczalnej chorobie. Pomaga, chociaż czasem tylko na chwilę.

Na pierwszy ogień poszło: „Kajś” Zbigniewa Rokity. Podtytuł: „Opowieść o Górnym Śląsku”. Gdybym chciała określić lekturę jednym słowem, powiedziałabym: PEREŁKA!

Przy okazji przekonałam się jak mało znam rodzimą historię, a już historię Górnego Śląska, wcale. Kiedy wspominam lekcje historii w mojej szkole podstawowej i to co mówiono nam o Śląsku w ogóle: „Ziemie Odzyskane”, „Piastowskie Ziemie przywrócone Macierzy” .... itd... itp... Górny Śląsk przedstawiano nam jako ziemię obiecaną, krainę wiecznej szczęśliwości, a Górnoszlązaków, jako najszczęśliwszych ludzi i w Polsce i na Świecie. Teraz widzę , jak łatwo manipulować dziećmi, bo my wierzyliśmy w każde słowo i zazdrościliśmy tym szczęśliwcom.

Czytając „Kajś” – poznawałam historię Górnego Śląska na nowo. Prawdziwą! Bo historię tworzą ludzie z krwi i kości, co udowadnia autor. I nie jest to

bynajmniej historia łatwa, rozumiała, bo to, co setki lat przeżywał lud śląski, wymyka się często wyobraźni. A jednak, nie sposób nie dać wiary opowieściom.

Język powieści - dokumentu (tak określam styl), jednocześnie prosty, ale chwilami, zwłaszcza jeśli tekst dotyczy spraw drastycznych – staje się delikatny, wręcz finezyjny.

Doskonałym uzupełnieniem losów wielopokoleniowej rodziny jest drzewo genealogiczne, zamieszczone na początku. Wystarczy wsłuchać się w brzmienie nazwisk i już odtwarza się historię. Jeśli chodzi o mapki, ja jeszcze dołączyłabym te z innych okresów.

Inną cenną wartością, są opisani znani ludzie z Górnego Śląska. Wśród nich – Korfanty i historia jego życia w sanacyjnej Polsce. No i bliższy nam, nie żyjący już Kazimierz Kutz, który najpierw opuścił Śląsk, ba, wstydził się swojej „śląskości”, a później wrócił i stał się jednym z najgorliwszych obrońców Górnoszlązaków.

Historia świętochłowskiej „Zgody” budzi grozę! Jakieś pogłoski dochodziły, ale wmawiano nam, że w obozie byli zamknięci wrogowie ludu, a nie zwyczajni ludzie, zwyczajne śląskie bogu ducha winne rodziny.

Inny dramat: Szopienice! Niewinnie brzmiące hasło: Huta cynku! (w przyrodzie rudy cynku występują wraz z rudami ołowiu). Tysiące dzieci i dorosłych cierpiące i umierające na ołowicę.

Aby nie zniechęcić przyszłych czytelników, dodam, że w książce są również elementy humorystyczne. Na przykład: nieustanna rywalizacja pomiędzy Górnikiem Zabrze a G.K.S-em Katowice! To tak, jak pomiędzy „Wisłą Kraków”, a Crakovią! Wieczne spory pomiędzy Śląskiem a Zagłębiem. Pozwolę sobie zacytować fragment z 205 –ej strony: „Ale najlepiej istotę stosunku Ślązaków do Zagłębiaków – pełną swego rodzaju czułości - oddała sytuacja z lata 2019 roku. Prezenter Filip Chajzer napisał na Facebooku: „Szukam do materiału w Dzień dobry TVN 30- latków (bądź więcej), którzy nigdy nie byli za granicą naszego pięknego kraju... P.S. Sosnowiec się nie liczy”. Zakpił z Sosnowca, ale Ślązacy mu napisali, że : „to są nasze gorole i tylko my się możemy z nich śmiać, a warszawiakom od nich wara”. Jak w „Samych swoich”, gdy Pawlak odpowiada żonie na uwagę, że Kargul to wróg najgorszy ze wszystkich: „Wróg? A wróg! Ale mój, swój, nasz – na własnej krwi wyhodowany!”

Analizując inne wątki, składam hołd: Babci Marysi i jej obu matkom.

Każdy z nas, no może prawie każdy, dochodzi kiedyś do etapu poszukiwania własnej tożsamości, i ta książka także jest tego dowodem.

Dawno już nie czytałam skądinąd ulubionej Tess Gerritsen, autorki tzw. kryminałów medycznych. Tym razem jest to wydana w 2021 roku: „Studentka”. T.G. napisała ją wspólnie z Garym Braverem (nic nie wiem na jego temat). Już pierwszy rozdział wstrząsa czytelnikiem. Młoda, piękna, zdolna, z doskonałymi perspektywami na przyszłość Taryn popełnia samobójstwo, skacząc z balkonu na piątym piętrze. Samobójstwo? Detektyw Frankie Loomis od początku ma wątpliwości. Prowadzi żmudne śledztwo, które toczy się początkowo jak po grudzie. Nowe fakty i coraz to większe wątpliwości. Nie wystarczy być piękną i zdolną. Jednak pieniądze to niezwykle ważny czynnik kierujący naszym życiem. Taryn jest biedna, jej matka pracuje ponad siły, aby zarobić na czesne w renomowanej uczelni w Bostonie. ( Autorka sugeruje, że wszystkie prywatne uczelnie w Bostonie są bardzo drogie).

Głównym motywem drogi życiowej Taryn jest miłość do Liama, bogatego i w sumie zdemoralizowanego chłopaka, który nie traktuje ich związku serio i porzuca Taryn, dla kogoś z „jego” sfery. Nawet ten pojedynczy fakt utwierdza wielu śledczych w przekonaniu, że to Taryn bez udziału osób trzecich dokonała samounicestwienia. Frankie jest innego zdania. Ma rację! Zakończenie i odkrycie prawdy jest tak zaskakujące, że zwala niemal z nóg, tak jak rozdział pierwszy.

Czytając, zastanawiałam się, czy tematyka seminariów prof. Doriana na temat skrzywdzonych kobiet miała decydujący wpływ na postępowanie Taryn?

Można na ten temat dyskutować godzinami i zupełnie inaczej ta dyskusja wyglądałaby w gronie mieszanym (kobiety i mężczyźni), aniżeli w gronie samych kobiet. Pary, które występowały podczas seminarium, pod wspólnym tytułem: „Kochankowie spod nieszczęśliwej gwiazdy” – Abelard i Heloiza, Tristan i Izolda, Romeo i Julia, Eneas i Dydona i inne, to przykłady przedstawiane przez prof. Doriana. Zwróćcie uwagę: zawsze na pierwszym miejscu – mężczyzna. Także mężczyzna w tych wszystkich przypadkach traktowany jest jak ofiara... Tak oceniali i oceniają fakty literaccy krytycy – także mężczyźni... Taryn – ocenia to inaczej. (Ja także! ) Cóż, to nasza wina, że dałyśmy się sprowadzić do roli „dodatku”. Potrzebnego dodatku, często niezastąpionego, ale jednak... Dodatku.

Zachęcam, zwłaszcza kobiety – do przeczytania. Oj! Będą dyskusje!

Trzecią dekadę stycznia rozpoczęłam „na wesoło”, a to dzięki Jackowi Galińskiemu i jego seryjnej już powieści: „Konkurenci się pani pozbyli”. Już wcześniej poznałam Jacka G., bo nasz sandomierski klub DKK, którego jestem wieloletnią członkinią, polecił nam inną jego książkę w grudniu ubiegłego roku. Była to dla mnie niespodzianka, bo podzucające nam książki Kielce, raczej nie szafują lekturą kryminalną, a już komedią kryminalną – wcale. Tymczasem grudniowa lektura: „Kółko się pani urwało”, otrzymana w czasie trudnym i pracowitym (Święta!!!), to był strzał w dziesiątkę! W dodatku, ja osobiście lubię kryminały i bardzo, bardzo lubię komedie kryminalne, zwłaszcza takie jak te Jacka Galińskiego o Zofii Wilkońskiej, jednocześnie rekomendowane przez mojego idola: Alka Rogozińskiego. Lubię się śmiać, jeśli jest z czego, bo jak już od dawna wiadomo, śmiech to zdrowie, a w czasach szalejącego wirusa – szczególnie. A propos wirusa! On po prostu oszalał. Doszliśmy do mutacji omikron i nikt, dosłownie nikt nie wie, jak daleko dojdzie w alfabecie greckim.

Tfu! Gin, przepadnij siło nieczysta! Niestety, takie są fakty.

Jacek Galiński skromnie uprzedza na dole okładki, że książka ta, to „komedia kryminalna”. Po przeczytaniu jej nazwałam ją inaczej. Toż to przecież historia najnowsza naszej ukochanej ojczyzny, z jej największym, niepowtarzalnym, jedynym w swoim rodzaju Szeregowym bohaterem!

Zofia Wilkońska, to z całą pewnością najbardziej szalona starsza pani, jak kiedykolwiek występowała, wystąpiła, czy wystąpi w przyszłości w przyrodzie! Pokochałam ją, bo tak ja jest emerytowaną nauczycielką, o wadach tego rodzaju emerytek nie zamierzam pisać, bo wszystkie jesteście podobne, tylko stopień szaleństwa każda ma inny. U siebie zdiagnozowałam stopień umiarkowany, chociaż moja starsza córka ma odmienne zdanie.

Moje rozpoznane umiarkowanie opieram na fakcie, że nigdy, ale to nigdy, nie starałabym się zostać posłanką do sejmu Rzeczypospolitej. Pani Zofia, pomimo choroby, utrudniającej jej przemieszczanie się, trochę przypadkiem, ale zostaje posłanką. I walczy! Skutecznie! Z jej inicjatywy (natchnienia?) rodzi się nowy ruch społeczny, bardzo skuteczny. Nawet Szeregowy zaczyna się bać, a przecież wiadomo, że to nieustraszony do tej pory byt. Zośka jest kompletnie nieczuła na próby przekupstwa, co nie tak często występuje u braci Polaków... Jest tak dzielna, że moim zdaniem to ona powinna dowodzić Wojskami Obrony Terytorialnej. Obawiam się tylko, że być może Jacek Galiński wymyślił ją. Musiał jednak mieć jakiś wzorzec. Może teściową?

Niezależnie jednak od tego, czy Zofia Wilkońska naprawdę istnieje, czy stworzył ją Jacek Galiński – jest potrzebna! Dlatego apeluję do wszystkich Polek: bierzmy przykład z Zofii Wilkońskiej i zrzućmy jarzmo patriarchy! Od razu zrobi się lepiej, mężczyznom – także. (Ale się rozmarzyłam...).

Nowa książka, podrzucana z Miejskiej Biblioteki. Nie znałam do tej pory autorki. Nic dziwnego! Znana w środowisku warszawskim, ale pisząca książki dla dzieci – Joanna Papuzińska. Tytuł: „Darowane kreski”. Na okładce trzy dziewczynki, skromnie ubrane, każda z nich w fartuszkach, najwyraźniej uszytym domowym sposobem, niezbyt ładne... I od tych fartuszków się zaczęło, bo... ja także miałam takie fartuszki uszyte z jakiś przedwojennych resztek, na ogół z koszul taty, w których kołnierzyki i mankiety doszczętnie się wytarły a reszta nadawała się na fartuszki dla małej dziewczynki. Podobnie jak autorka, ja także jestem dzieckiem wojny. Tak jak Asiunia urodziłam się w czasie jej trwania i czytając zapamiętane zapiski dziewczynki, miałam często wrażenie, że przeglądam się w lustrze. To nic, że Asiunia spędziła wojnę na przedmieściach Warszawy, a ja w małym miasteczku na Rzeszowszczyźnie. W domu Asi i moim panowały podobne obyczaje, ja miałam lepiej, bo do końca wojny miałam mamę, tatę, babcię i brata. Asi zabrakło mamy... Zazdroszczę jej z całego serca licznego rodzeństwa, zawsze marzyłam o młodszej siostrzyczce, lub braciszku i zanudzałam przelatujące bociany moimi prośbami w rodzaju: „bocian – kiszka, przynieś mi braciszka”.

Oprócz dziewięciorga Papuzińskich, w ich wojennych domach, przebywały też „przyszywane” siostry i bracia, często ratowane dzieci żydowskie, stąd rodzina Papuzińskich znalazła się wśród „Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata”. Podobnie jak tato Asi, jej babcia Tosia, ciocia Lunia i jeszcze mnóstwo przypadkowych cioć i wujków, moi rodzice czynili wszystko, aby zdobyć żywność, aby rodzinne święta wносиły choć trochę radości w wojenną rzeczywistość. Autorka opisuje też życie w pierwszych powojennych latach - życie wśród gruzów, mozolny trud odbudowy. W moim miasteczku nie było zburzonych domów. Tylko częściowo zbombardowana stacja kolejowa, gdzie zginęli pierwsi żołnierze i pierwsza cywilna ofiara - nastoletnia harcerka – Bronia P., która gotowała herbatę dla żołnierzy. Ta pierwsza bomba trafiła właśnie w kocioł...

To że nie było ruin jest małym pocieszeniem. Każda rodzina opłakiwała kogoś, kto nie przeżył wojny. Brat mojej mamy, nauczyciel, podporucznik rezerwy –

zginął w Katyniu, stryjeczny brat kilkulatek – od eksplozji pocisku  
moździerzowego, brat taty – od bomby.

My, wojenne dzieci mamy tyle podobnych wspomnień...

Ta książka jest dla takich jak my, młodych chyba nie zainteresuje, może nawet  
nie uwierzą? Jest nas coraz mniej i dobrze, że Pani Papuzińska zapisała swoje  
wspomnienia. Po mistrzowsku odtworzyła atmosferę tamtych lat. Co mi  
pozostaje napisać?

PANI ASIUNIU! - WIELKIE DZIĘKI!

*Maria Zarańska – DKK Sandomierz*